

**Raczki choleryka<sup>1</sup>**

**Na podstawie wspomnień Pani Krystyny Wieczorek.**

Pani Krystyna zna „uroki” wojny jak nikt inny, urodzona w 1927 r. niedaleko Lublina, we wsi Zaklików. Miała czworo młodszego rodzeństwa. Wojna rozpoczęła się, gdy miała zaledwie 12 lat. Przez cały czas trwania wojny trudniła się pracą w gospodach oraz domostwach. Trafiła do obozu koncentracyjnego Majdanek. Gdy wojna się skończyła, w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie oraz rodziny, przyjechała na zachód, na Ziemię Odzyskane. Mieszkała przez lata w Żarach, lecz za namową koleżanki przeprowadziła się do Legnicy, gdzie mieszka do dziś. Aktualnie ma syna, wnuki oraz prawnuki. Wiedzie szczęśliwe życie otoczona najbliższymi. Pomimo wieku dalej jest pełna wigoru, dobrego humoru oraz pozytywnego spojrzenia na świat. Pełna chęci do dzielenia się tym, czego miała okazję doświadczyć. Nie istnieją dla niej tematy tabu. Stanowi idealny przykład dla młodych pokoleń, jak podchodzić do życia z przymrużeniem oka, a jej życie jest świadectwem prawdy, że nawet z najgorszej sytuacji zawsze jest jakieś wyjście.

---

1

Tytuł inspirowany zbiorem krótkich opowiadań o dziejach św. Franciszka z Asyżu oraz jego 12 kompanach pod tytułem „Kwiatki św. Franciszka”

Znacie historię Herkulesa? Dałbym sobie skrzydła uciąć, że tak. Ja nim jestem, wielkim synem Zeusa i Alkmeny, w którym płynie boska krew. Stworzony jako najsilniejszy, by zwalczać gigantów, karmiony piersią samej Ateny. Jestem nieustraszony, zabiłem lwa, stanąłem twarzą w twarz przed hydrą oraz uprowadziłem samego Cerbera z krainy umarłych. Teraz odwróćcie się i wsadźcie te wszystkie greckie herezje między bajki... To moja historia, ale nie mam boskiej krwi, ani na imię Herkules, niemniej dwanaście prac, a i owszem. To nie robota dla wymyślnego pół - boga, do tego trzeba prawdziwego anioła. Więc oto jestem. A teraz pozwólcie, że sprostuję wszystkie brednie z lwami, psami i innymi stworami. Nie wiem właściwie ile lat temu - musicie mi to wybaczyć, bo w szkole wyższego anielstwa nie uczą tej waszej mmmmm... Mamatentyki? - wracając dość dawno temu jako młody i dobrze zapowiadający się Anioł Stróż zostałem wezwany do góry. To był dzień, kiedy dostałem swoje pierwsze, i jak dotąd dzięki Bogu jedyne, zlecenie. Moja Krysia, wtedy taka malutka, to był pierwszy raz, kiedy zobaczyłem człowieka. Przypominała takie czerwono-różowe coś. Jak przymrużyłem jedno oko i skręciłem głowę w lewo to wydała się całkiem urocza. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak wiele pracy będzie mnie czekać. Ciche gospodarstwo, kochający rodzice, sielsko anielsko. Potem zanim się obejrzałem, w domu była ich czwórka. Aż miło patrzeć na takie malutkie uśmiechające się twarzyczki. Chodzili do szkoły, bawili się, pomagali w domu jak wszystkie dzieci. Ja każdego dnia zakochiwałem się w ludzkich dzieciach na nowo. Dla nich wszystko było nowe, zupełnie jak dla mnie. Takie łatwowierne, o czystych zamiarach, niewiniątka. Cieszyliśmy się z Krysią sobą nawzajem. Mimo tego, że nie miała żadnych potwierdzeń tego, że jestem, wiedziała o tym lepiej niż wszyscy profesorowie teologii razem wzięci. Okazało się, że wszystkie straszności przed jakimi nas przestrzegali jeszcze w szkole, to bujdy na resorach. Bytność tu na dole, wcale nie różni się tak bardzo. Razem z tą myślą, niemal jednocześnie przyszło do mnie zawiadomienie, że ojciec Krysi jest pilnie wzywany na górę, do wejścia głównego, gdzie urzęduje św. Piotr. W związku z tym musiałem mocno trzymać moją malutką. To było nieuczciwe i bolesne, jednak ja jako anioł zgadzam się z Jego wolą, bo On na samej górze wie co robi.

Moim zadaniem wówczas było koić ból. Biedni byli, za dwa miesiące w końcu miało się pojawić piąte szczęście na świecie. I tak w dwunastym roku życia Krysi skończyło się dzieciństwo. Musiała bidulka zacząć pracę, starałem się jej pomagać, gdyż nie mogłem patrzeć na te małe, wiotkie rączki prowadzące na stalowym łańcuchu bydło o dziesiątki razy większe niż ona sama. Wtedy zauważyłem w niej coś nowego, zniknął przed moich oczu obraz tyciej, słabej istotki. Ma w sobie siłę wielu mężnych i niezależność oraz samodzielność wybitnych aktywistek. Skończyła mimo wszystko piątą klasę, dzielna z niej dziewczynka. A

gdzie tych moich dwanaście „wielce trudnych” prac? Zaczęły się 1 września 1939 roku. Wtedy przyszło kolejne pismo z góry. Czuję już, że to znów nic dobrego i niestety się nie myliłem. Było w nim napisane, że przyszła właśnie zagłada ludzi, wszyscy aniołowie muszą zacząć pracować na najwyższych obrotach, by chronić swoich podopiecznych. A zadanie to miało się znacznie skomplikować. Mi miało przysługiwać 12 zadań, które nadejdą w nieokreślonym czasie. W szkole wspominali o takich kryzysowych sytuacjach, uczyli RMO -resuscytacja modlitewno-obronna. Teraz to już nie lekcje, a nagrodą nie jest pochwała czy nagana, na szali stoi życie mojej maleńkiej.

Pierwsze takie wydarzenie miało miejsce niewiele później, ale na tyle, by rzeczywistość pełna strachu stała się normą. W jeden z takich normalnych dni, rozległo się walenie do drzwi. Przed nimi stał elegancki, muskularny drągal w ciemnozielonym mundurze. Przez ten czas nauczyłem się, że tych trzeba unikać jak ognia. Mama Krysi wypuściła starsze dzieci przez okno, a wraz z malutką poszła mu otworzyć. Schowaliśmy się wówczas w kupie siana. Pojedyncze żdźbła wbijały się bezlitośnie w ich delikatną skórę, a mimo to milczeli. Bardzo się wtedy bałem. Od tego mężczyzny dzieliły nas metry. W końcu zebrałem się w sobie i postanowiłem interweniować. Szeptalem mu na ucho, by odszedł i zostawił ich w spokoju, ale nic z tego. Zazwyczaj to działało, jednak tym razem moje starania spełzły na niczym. Jego dusza była głucha na mój głos. Pierwszy raz poczułem bezsilność, pchałem go, próbując przesunąć, odtrącić. Siłowałem się tak dłuższą chwilę. Udało się! Obroniłem moją Krysię, ulżyło mi. Utuliłem ją jak nigdy wcześniej, a ona znów wydała mi się tą małą, delikatną istotką, jak przed laty.

Takie sytuacje zaczęły pojawiać się częściej, a mieszkańcy naszego niewielkiego Zaklikowa znikali nieraz bez śladu. Wczoraj jeszcze był, a dzisiaj nie ma, jednak wiem, że tym razem nie jest to sprawka Szefa. Moja mała musiała utrzymywać rodzinę, a pracy było tu coraz mniej. Wyjechaliśmy, niedaleko, bo tylko nieco ponad 2000 kroków Krysi, nie jest to jednak dom. Służyła takim dobrym, bardziej zamożnym ludziom. Była to uczciwa, ale ciężka praca. Wydawałoby się, że jest spokojnie i dostatnio. Tak było, jednakże nie trwało to długo.

Dnia 2 lutego, w dobrze znane mi święto Matki Bożej Gromnicznej, przyszedł czas na kolejny, trudniejszy test moich umiejętności anielskich. Za szybko się działo, zbyt chaotycznie. Słońce ledwie co wychodziło zza horyzontu, otoczyli trzy wioski. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Granaty wpadały przez okna do domostw i na podwórka. Nagle wszystko rozbłysło światłem i stanęło w płomieniach. Kobiety płakały, dzieci krzyczały, zwierzęta zamknięte w stodołach ryczały tak, że ich ból przeszył mnie do żywego. Mężczyzn nie było żadnych, wszyscy na froncie, znikąd pomocy. Padały kolejne strzały, a w tłumie

znikały kolejne głowy. Skłoniły się niczym plony w sierpniu w czasie żniw ścinane przez gospodarza zdecydowany ruchem. Oni jednak nie byli gospodarzami. Z tego co mnie uczyli niegdyś, to przypominało mi taki lądowy abordaż.

Zagonili nas, jak Krysia niegdyś zwykła zaganiać bydło. Było ciasno, ciemno, nieprzyjemnie. Panował zaduch, wyraźnie było czuć zapach stęchlizny, nastrój i okoliczności iście piekielne, rzekłby mój profesor z demonologii. Przesuwne drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, a wprost w nasze oczy agresywnie wdarły się promienie słońca. Chwile zajęło, nim zmysły przyzwyczyły się otoczenia. Szutrowa droga prowadząca do ceglanych budynków zaopatrzonych w kominy. Od momentu wyjścia słychać nieustanne krzyki w nieznanym nam języku, lecz każdy wiedział, co ma robić. Na niejedną istotę i rękę podnieśli, a wtedy delikatne, lekkie jak piórka ciała zginały się z cichym jękiem. Ledwie łapały pion, by znowu biec za grupą.

Wszyscy musieli się rozebrać, bez wyjątku, do naga. Teraz nie potrafiłem niemal ich odróżnić. Stos ubrań piętrzył się i piętrzył bez końca. Całkiem spore pomieszczenie wyłożone kaflami. Na suficie natryski przymocowane jedno przy drugim. Gdy weszła ostatnia osoba, ciężkie stalowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Cichy syk i z góry zaczęła lecieć lodowata woda, oblewając drżące już ze strachu istoty.

Cali rozedrgani byli zmuszeni szukać ubrań, pośpieszani i bici. Moja Krysia by oszczędzić sobie bólu, złapała pierwsze, co leżało z góry i naciągnęła na siebie, by ogrzać zmarznięte kończyny. Znowu musieliśmy biec, kolejny prawie taki sam ceglany budynek z kominem.

Ostatnia osoba weszła i drzwi się zatrzasnęły. Nie potrafiłem określić, gdzie byliśmy. Na pewno jednak nie byliśmy sami. Przeładowane prycze pełne zmęczonych, cierpiących ludzi. Moja Krysia skulona na jednej z nich, taka biedna. Ten widok łamał mi serce. Zimna noc, jakich wiele w lutym. Nikt wokół nas nie spał, bo wszy wielkości Krysi palca, co rusz boleśnie czepiały się skóry. Ciągłe otrzepywanie nie pozwoliło zasnąć, ale przynajmniej uniemożliwiało zmarznięcie.

Modliłem się tej nocy, jak jeszcze nigdy nie miałem okazji. Mimo tego, gdy słońce wstało, z każdej pryczy co najmniej jedna osoba już nigdy nie wstała. O świcie znów nas wyprowadzono. Bieg, tym razem znów do wagonów. Znany już smród stęchlizny, zaduch, mrok, ścisk. Monotonny stukot usypiał moją maleńką po całej nieprzespanej nocy. Oparta o ścianę wagonu, ściśnięta przez ludzi wokół, zamykała niezdarnie opuchnięte powieki. Tuliłem ją do siebie, chcąc byśmy, byli razem w innym, lepszym miejscu. Powtarzałem sobie wówczas, że jestem aniołem i wiem, że istnieje Boży plan. Podziwiam ludzi wierzących, skoro ja z moją wiedzą nie mogę uwierzyć. Wysiadka, a bardziej wypad. Krzyki, bieg, bicie

kruchych ciał. Spora grupa kobiet i dzieci zebrana na prostokątnym placu ogrodzonym stalową siatką. Mój szósty zmysł podpowiadał mi od początku, że coś jest nie w porządku. Pisali o tego typu sytuacjach w piśmie, które zostało wysłane z Góry na początku wojny. Połączyłem niemal natychmiast kropki w głowie.

Zrozumiałem, że to pułapka, to kryzys wszystkich aniołów, epidemia śmierci, na którą nie ma antidotum. Musiałem myśleć szybko, nie wiedziałem, ile mam czasu. W tym momencie co najmniej połowa zajęć w akademii zaczęła w końcu nabierać sensu. Ludzie kręcący się z drugiej strony ogrodzenia, niezbyt zainteresowani tragedią mającą miejsce tuż koło nich. Pani w średnim wieku, niewyróżniająca się, wracająca z zakupów. Nie wiedziałem już co robić, za to ona wiedziała. Ledwie chciałem otworzyć usta i szepnąć, a jej wzrok zwrócił się ku postaci mizernej dziewczynki rozglądającej się w amoku na twarze ludzi wokół. Zamurowało mnie, patrzyłem jedynie biernie na przebieg wydarzeń. Sekunda, dwie i kobieta odwróciła się na pięcie oddalając się w swoją stronę ze spokojem, jak gdyby takie sytuacje były codziennością. W oczętach Krysi znów pojawiła się ta iskierka, która zgasła wcześniej razem z buchnięciem ognia pochłaniającego kolejne domy. Obserwowała uważnie strażników spacerujących równym krokiem przez plac. Tylko obrócili się plecami, a ona rozpędzona mknie wprost na ścianę. Chciałem ją powstrzymać, ale nie zdołałem. Z całą prędkością uderzyła. Zacisnąłem powieki i byłem już gotowy otworzyć je ponownie na górze. Patrzę, a maleńkiej nie ma na placu, stoi po drugiej stronie. W najbliższym budynku były uchylone drzwi, zanim ja zdążyłem pozbierać myśli, ona już przecisnęła się przez nie bezszelestnie.

Skromny korytarz, betonowe zimne ściany, a na końcu niego pokój, w którym mieściło się jedynie prześmierdłe wilgocią łóżko, szafa niedosunięta do rogu oraz niewielki aneks kuchenny z jeszcze ciepłym jedzeniem. Wbiegliśmy tam z prędkością światła, które, o ironio, wcale tam nie docierało przez brak okiennic. Jeszcze zdyszani usłyszeliśmy kroki. Kolejny raz w ciągu tego dnia stałem się żywym posągiem. Ku naszemu zdziwieniu, postać, która ukazała się naszym oczom, nie przypominała strażników przechadzających się przed chwilą po placu. Była to kobieta o ciepłym wyrazie twarzy i radosnych oczach budząca zaufanie. Bez słowa wskazała na szafę, mając to na myśli, by Krysia schowała się za nią i tak też uczyniła. Zwinnie zsunęła się po ścianie, kuląc się w tej przestrzeni. Bała się, czułem jak cała drży, a jej serce biegnie, pomimo tego, że ona się już zatrzymała.

Kroki, miarowe, ciężkie, rytmiczne. Zbliżały się. Przytuliłem ją mocno do siebie, by nie słyszała tego, co się dzieje. Było słycać dwa głosy, kobiecy i męski. Ten pierwszy - opanowany i nieco pobłażliwy, za to drugi - poddenerwowany i krzykliwy. Kobieta wiedziała, co robi i mężczyzna zniknął tak samo szybko, jak się pojawił w tym marnym domostwie.

Pomimo to nadal siedzieliśmy za meblem milcząc, starając się nawet nie oddychać. Było słychać krzyki, stanowcze, błagalne, strzały, tupot stóp, stukot silników. Każdy z tych dźwięków przesywał do żywego, pozostawiając echo odbijające się od kości czaszki, docierające głęboko do mózgu. Gdy w końcu zapadła cisza okazało się, że to ona jest prawdziwym przekleństwem.

Cały świat jakby zamarł, razem z niebem i ziemią. Słyszałem tylko niemiary oddech Krysi. Siedzieliśmy tak skuleni, stykając się kolanami, przyciśnięci do ściany. W tamtym momencie cały świat ograniczał się dla mnie jedynie do tej kryjówki, w której byliśmy razem schowani. Po jakimś czasie promienna kobieta i jej spokojny głos wrócili. Nakarmiła moją maleńką, a ona jadła nic nie mówiąc, aż jej się uszy trzęsły. Chyba tacy zbiedzy jak my, to w jej domu chleb powszedni. Z troską pytała Krysię o jej perypetie, które przywiodły ją do tego miejsca. Gdy opróżniła talerz do czysta, Pani pozmywała, by potem znowu zniknąć. Krysia była wycieńczona i opierając ciężką ze zmęczenia głowę o dębowy stół, zasnęła. Ja siedziałem obok i głaskałem jej plecki, patrząc, jak delikatnie opadają i unoszą się wraz z jej pochrapywaniem. Dawno nie zaznałem takiej chwili wytchnienia jak wtedy. Z rana na korytarzu ponownie można było usłyszeć kroki. To znów ona. W porannym świetle mogłem jej się nareszcie uważnie przyjrzeć, wydała mi się dziwnie znajoma. Do złudzenia przypominała kobietę zza ogrodzenia i ... Nad tym miejscem krążą anioły, to miejsce zero. Tutaj anioły nie zajmują się konkretną osobą, ale każdym, kto się znajdzie w obrębie ich miejsca pracy. To były anioły, dlatego nie słyszały mojego głosu, bo miały własny. Ta anielica, o ciepłym wcieleniu podarowała Krysi pracę. Byli to dobrzy ludzie, Pan oficer z żoną i niemowlęciem. Praca obejmująca opiekę nad dzieckiem i niewielkie prace domowe była dla mojej maleńkiej zbawienna. Było jej naprawdę dobrze.

Ciekawska nastolatka z niej była. Nadal tylko dziecko. Nasi państwo prowadzili sklep w Lublinie. Zajęciem Pani było jednak głównie zadbanie o ognisko domowe. Spędzała z Krysią dużo czasu, polubiły się. Moją maleńką nurtowała jednak pewna rzecz, dwa niewielkie satynowe woreczki na tasiemce. W domu Pani Zosia nosiła je przywiązane przy pasie, jednakże, gdy musiała wyjść, zwykła przywiązywać je do dziecięcego wózka. Krysię nurtowała ich zawartość i dała się ponieść tej ciekawości. Na jednym ze spacerów, gdy oddaliła się już od domostwa, złapała jeden z woreczków w rękę i delikatnie, jakby miało z niego coś wyskoczyć, otworzyła. Całe wnętrze woreczka lśniło, było wypełnione złotymi dolarami. Przestraszyliśmy się, wpatrywaliśmy się, zastygli ze strachu w lśniące monety. Zadaliśmy sobie wiele pytań, a tym najbardziej nurtującym było - skąd oni je mają? Fala

strachu, nadeszła niczym tsunami razem z tym pytaniem. Teraz działał instynkt, Krysia zasunęła woreczek i niemal automatycznie wróciła do domu.

Życie z tą rodziną było dość spokojne. Spotkania pana domu, pana Edwarda na podwieczorkach, wakacje, potajemne spotkania Pani Zosi z jej mamą. Jedyne co często burzyło ten ściśle ułożony ład, to kłótnie małżeństwa o zamiłowanie pani Zosi do papierosów. Niemniej każda z nich kończyła się machnięciem ręki i wyciągnięciem zapalniczki. Lata leciały, a moja Krysia rosła i rosła. W 1945 roku nadszedł piękny oraz upragniony dzień. Na ulice wjechały wielkie pancerne samochody wypełnione śmiejącymi się młodzieńcami. Następne pismo z góry, o krótkiej tym razem treści, jak widać pisane na szybko: „Koniec stanu poruszenia, codzienna praca wraca do trybu unormowanego”. Te słowa zabrzmiały wówczas niczym najpiękniejszy z psalmów Dawidowych.

Koniec wprawdzie nie wyglądał tak, jak się spodziewałem. Już dzień lub dwa później rozległy się syreny. Ich dźwięk otaczał nas jakby ze wszystkich stron. Uderzały falami, a ja czułem się jak stary rybak na niewielkim, biednym kutrze, zupełnie sam na morzu podczas sztormu. Nie potrafiłem powstrzymać mimowolnego drżenia ciała. Krysia podzielała moje odczucia. Z przerażeniem w oczach zeszła wraz z panią Zosią i panem Edwardem oraz znajomym oficerem znajdującym się wówczas w ich domu. W kapciach, domowych łachmanach, ludzie z całej kamienicy zbiegli do piwnic. Tłum stłoczony na niewielkiej zimnej przestrzeni wypełniał ją doszczętnie. Wśród szeptów i zaniepokojonych rozmów rozszedł się krzyk. Krzyk zdziwienia, strachu, załamania i niepewności. Niemowlę w kołysce zostało u góry, na trzecim piętrze w mieszkaniu naszego państwa. Zanim się obejrzałem pani Zosia niemal na klęczkach błagała Krysię, by ta pognęła na górę. Mam jedynie nadzieję, że małeństwo nie jest już na Górze. Poczulem, jak i mi i Krysi zasycha w ustach, a ciało zamienia się w słup zwykłej soli. Kobieta błagała, dalej schodząc coraz niżej do ziemi. Krysia w końcu nieśmiało pokiwała głową i oderwała się z miejsca. Ja czując jedynie ciepło pustego miejsca obok mnie, zebrałem się na odwagę. Na chwiejących się nogach wbiegaliśmy jak najszybciej się dało po drewnianych stopniach. O takich sytuacjach, nigdy w akademii nie wspominali. Nie wiedziałem, co mam robić, jak pomóc, czułem się bezsilny. Zgodnie z instrukcjami, Krysia wzięła dwa ciężkie płaszcze oficerskie leżące w szafie w pokoju gościnnym, po jednym na ramię. Jej kroki po skrzypiącej podłodze brzmiały jak nieubłagalne odliczanie minutnika bomby. 10, 9, 8... Wbiegła do niewielkiego pokoiku obok kuchni. 7, 6, 5... Dziecko zarzuciła sobie na ręce i wśród świstów samolotów i wycia syren zbiegała w dół. 4, 3, 2... Teraz nieco wolniej, zważając na to, gdzie stawia następny krok. Trzymałem ją za

rękę i czułem drzenie jej ciała oraz krople potu ściekające po spiętych skroniach. 1... Pchnęła nogą drzwi piwniczne. 0...

W tym właśnie momencie wszystko zamilkło, szepty, rozmowy, świsty, gwizdy, syreny. Oczy wszystkich w piwnicy były skierowane na nas. Ciszę przerwał rozradowany krzyk pani Zosi, jednak nikomu poza nią nie towarzyszyła ulga. Ta cisza, była tak samo okropna jak ta, którą usłyszeliśmy z Krysią, siedząc za szafą. Biedna moja mała, ale taka dzielna. Ojciec byłby z niej dumny, jej męstwo nie umniejsząłoby nawet największym chojrakom. Zza ścian zimnej piwnicy, z tych samych głośników, z których chwilę wcześniej dał alarm, teraz słysząc głos oznajmiający, że samoloty wroga zawróciły do bazy i nie ma strat w ludziach.

Chcieli zatrzymać Krysię przy sobie, lecz jak to ona w swej upartości zwykła mówić:

- „Nie trzeba, ja to taki choleryk jestem, na miejscu usiedzieć nie mogę.”

Marzył się jej powrót do matki i do rodzeństwa. Jej dom w Zaklikowie, jej łóżko i to okno w kuchni z widokiem na łąkę. A ja cóż mam rzec, zupełnie ją rozumiem, ja też chcę do Domu. Letni dzień, malutka walizka, w tych rączkach mojej Krysi. Stoimy przed kamienicą, niezbyt wiedząc, co ze sobą zrobić. Do domu, lecz czym? Auta nie mamy, pociągi nie jeżdżą, isć pieszo za daleko. W chwili niemocy, siedliśmy tak na krawężniku i czekaliśmy, na Bóg jeden wie co. Gwiazdkę z nieba? Stukaliśmy stopami o bruk, co rusz nową to melodię, która wpadnie nam do głowy. W świetle ostatnich wydarzeń nuda była uczuciem pożądanym. A nierobienie niczego przez chwilę było szczytem marzeń. Nagle stukot naszych stóp został zastąpiony przez o wiele głośniejszy, lecz równie rytmiczny.

Przez wybrukowaną ulicę sunął cień wielkości dwóch pięter. To był czołg. Z klapy na górze wozu wychylał się chłopak na oko w wieku Krysi. Łypnąłem więc na nią i zobaczyłem w jej oczach znajomy mi już blask. Jak amfora pojawiła się na środku drogi, machając tymi swoimi rączkami. Czasami mam wrażenie, że ona zwariowała. Rozpędzona maszyna hamuje z łoskotem może pół metra od Krysi. Aż tak bardzo do Domu nie chciałem! Ledwie ja doszedłem do siebie po zatrzymaniu własnym ciałem wielkiego czołgu, a Krysią już pakowała się do wjazdu. Ona za to bardzo chce do domu. Kamikadze. Przeczuwałem, że to nie jest najlepszy pomysł. Czterech chłopaków na oko w wieku od 17 do 23 lat. Ciasna, zatęchła i przesiąknięta zapachem prochu strzelniczego przestrzeń. Pośrodku tego chaosu siedziała beztrusko moja maleńka. W takich momentach chciałbym tak jak ludzie, nie słyszeć myśli drugiego człowieka. Biedna Krysią. Tak krzychałem wówczas, by narzucić im inne, nieco błahe myśli, Co u ich matek, jak pies sąsiada, co zjedzą, gdy wrócą do domu. Krzychałem, krzychałem i krzychałem, lecz gdy przestałem, nie mogłem się już choćby odezwać, straciłem głos. Wtedy też w końcu na horyzoncie pojawił się nasz rodzinny Zaklików.



Powroty są piękne, niezwykle i poetyckie. Gdybym był człowiekiem, takim poetą lub filozofem, mówiłbym o tym:

*Istotą odejść są powroty  
lecz po co wracać, gdy trzeba odejść  
zobacz tam czekają na Ciebie twoje koty  
zobacz tam twoja kochanka wypadałoby podejść  
zadbaj o dzieci przytul weź w ramiona  
przypomnij sobie ich imiona  
poczuj się znów jak w domu, siedzi tu ona  
cieszcie się sobą zanim szala znów zostanie przesądzona.*

Zaklików nie przypominał ani trochę tego, który pamiętam. Wyglądał jakby apokalipsa Św. Jana już tam nadeszła. Opuszczone budynki, zaniedbane pola, biegające samopas zwierzęta. Staliśmy tak na żwirowej drodze, czując się obco. Zupełnie jak egzotyczni przybysze z innej planety. Ruszyliśmy w stronę naszej chałupy, wdychając kurz podnoszący z każdym naszym kolejnym krokiem. U drzwi stała już matka Krysi, uradowana na nasz widok. Jej długi, miedziany warkocz wydawał się jakby posrebrzony, sylwetka młodej kobiety niegdyś pełnej wigoru, przygarbiona, a świetlista twarz, nieco zamglona. Rodzina w komplecie. Opowieściom i czułościom tego dnia nie było końca. Tak mijały także następne tygodnie, szara rzeczywistość zastąpiła jednak miejsce czystej, niewinnej radości z bycia razem. Było biednie, zbyt niewiele, aby nakarmić i ubrać sześć osób. Najszczęśliwsze chęci, nawet w ówczesnej sytuacji, nie mogły nic zdziałać. Nie było gdzie dorobić, z kim się nawet wymienić. Zostało zaledwie paru sąsiadów, którym równie źle się wiodło, jak i nam. Okoliczne wioski spalone co do belki. Od końca wojny chodziły już plotki o Ziemiach Odzyskanych na zachodzie. Całe puste miasta, każdy kąt, który zaklepiesz jest twój. Moja rodzina nie mogła jednak odejść, małe dzieci nie zniosłyby podróży. To zadanie, jak zwykle, dla najstarszej - Krysi. I tak moja jeszcze nawet niepełnoletnia maleńka, została znowu zdana tylko na mnie, a ja tylko na nią. Minęło zaledwie sześć może osiem tygodni, a jej tycia rączka znów trzymała ten sam skromny bagaż w walizeczce. Gdy „pociąg” wjechał na stację, nie przypominał w żadnym stopniu znanych nam pociągów. Drewniane klocki z ludzkim wypełnieniem. Staliśmy tak czekając, aż wagony choć ciut opustoszeją, lecz nie bardziej mylnego. Widziałem błysk w jej oczach, które odbijały ostatnie promienie słońca. Wzięła ostatni głośny, wręcz teatralny wdech i cisnąć się w ludzką masę, wsiadła do wagonu. Po

chwili wszystko w wagonie stało się jedno, niemożliwe było wyodrębnienie jednostki. Razem z Krysią staliśmy przyparci do kąta, pomyślałem sobie, że więcej miejsca mieliśmy tego feralnego, a może szczęśliwego dnia za szafą. Trzask, pisk, zgrzyt i ruszyła „wycieczka sardynek”. Jechaliśmy tak minuty, kwadransy, godziny, doby. Co jakiś czas jedynie usłyszeć się dało trzask otwieranego wagonu. Sam akt zatrzymywania się lub ruszania maszyny, pozostawał jednak obojętny pasażerom. Panujący ścisk między nimi powodował, że nawet podstawowe prawa fizyki przestawały działać. Tak z moją Krysią główkowaliśmy, by zająć sobie ten nieciekawny czas. Ludzi jednak w końcu zaczęło ubywać. Dokąd zmierzali, gdzie wysiadali, czy my też powinniśmy tu wysiąść? Nie wiedzieliśmy, dlatego ustaliliśmy z Krysią, że ostatnia stacja jest nasza. Nowy dom, nasz dom. Jak wygląda? Gdzie jest? To zagadnienie utrzymało nas przy życiu i w miarę trzeźwym umyśle przez ostatnie parę godzin podróży. Gdy ostatni z współpasażerów wyszedł, a Krysią odzyskała czucie w zastałych kończynach, wysiedliśmy na niewielkiej stacji. Było ciepło popołudnie, jej oczy mieniły się pełne nadziei. Zaciśnęła wstążkę na ciasnym warkoczu i chwyciła bagaż. Szła z głową wysoko podniesioną i leciutko zadartym nosem.

Mijaliśmy kolejne kamienice, bloki, domy i domki, a Krysią tylko rozglądała się z dezaprobatą. Minęliśmy Panią, która powiedziała jedynie do maleńkiej półgłosem: „To nie jest miejsce dla takiej kruszyny, to nie miejsce dla dobrych ludzi, ani w ogóle dla ludzi”.

Teraz już nie miałem z tym problemu, ona także była aniołem. Jak grom z jasnego nieba usłyszałem tłuczenie się czegoś ciężkiego w domu tuż obok nas. Nieśmiało, z drżącymi skrzydłami, zajrzałem co tam się dzieje. Grupa ośmiu mężczyzn płądrowała strojne wnętrza. Mieli łomy, młotki, siekiery i pistolety w kaburach. Z każdym ich krokiem, od pustych, obdrapanych ścian odbijał się dźwięk monet, uderzających o siebie w ich kieszeniach. Miała rację, to nie miejsce dla ludzi. Szybko przejrzałem kolejne trzy najbliższe domy. Wyglądały niemal tak samo, z tym wyjątkiem, że w dwóch z nich leżały puste już skorupy ludzkie. Miały grymas zaskoczenia i strachu na twarzach. Miałem wrażenie, że wpatrują się we mnie martwymi oczami. W ich przeszywających spojrzeniach było coś, co mówiło mi, bym czym prędzej zabrał stąd maleńką. Nie ukrywam, co bym o niej nie mówił, uparta z niej ponadprzeciętnie dziewczyna. Ona ciągle szła do przodu, szukając swojego gniazdko, a ja hamowałem ją, zapierając się piętami, jednocześnie krzycząc ile sił. Kątem oka zobaczyłem jak kobieta, która nas mijala odwróciła się i chwilę przyglądała się całej sytuacji. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że nad tym miejscem także krążą anioły. Nie jestem tu sam. Ta myśl dała mi tyle siły, że zawróciłem jej krok. Teraz w postaci wiatru pchałem ją w plecy, by znalazła się już z powrotem na stacji.

Tamtą noc spędziliśmy na stacji pod gołym niebem, oparci o ścianę budynku stojącego przy torach. Krysia zasnęła dość szybko, opierając głowę o moje ramię, wtedy ja oddałem się RMO. Dawno nie oddawałem się tej praktyce, wydawała mi się bezcelowa, ale teraz dzięki niej poczułem spokój. Ja także zasnąłem. Później sprawy toczyły się tak szybko, pokój na stacji, nowa praca, pierwszy list do mamy, nowi przyjaciele, przyjazny nieznajomy, przyjazd rodziny, ślub, przeprowadzka. Żyjemy sobie z moją Krysią, moją maleńką. Teraz ma 95 lat, syna, wnuki, prawnuki. Dom, nasze bezpieczne cztery ściany, o których marzyliśmy. W końcu sielanka. Teraz razem śmiejemy się z tego, co wówczas było, by ciężar tamtych dni nas nie przygniótł. 12 prac, które wymagały prawdziwego anioła, a nie byle pół-boga. Wiem, że nie kalkulujecie, gdzie jest ostatnia, finałowa praca? Nie sądzicie jednak, że opowiadając ją wam już teraz zaprzeczyłbym faktowi istnienia życia po śmierci? Jestem aniołem, więc prawnie herezji nie leży w mojej naturze. To nasza historia, którą razem zbudowaliśmy i wciąż budujemy. Słodko gorzkie dzieje mojej kruszyny ze szczyptą pieprzu:

*„Życie moje jak chleb razowy, mogę sobie to przypisać, gruby i ciemny. Wino nie dosyć słodkie, lecz Ty go przemień, Bóg przemieniał wodę w wino. To właśnie to jest takie podejście do życia”*

*„No mogę to powiedzieć, to tak dla śmiechu. Kupiła raki tam w Lublinie, dużo na straganie tych raków było sprzedawanych i ona teraz jakoś siedem mi przyniosła, żywe raki. Ja tych raków nas tam była rzeka, nie niedaleko, gdzie mieszkam to chodzili boso w rzeczce i tam raki łapali. Wiedzy nie miałam jak to dzieci z podwórka. Nie byłam też taka sprytna. Jakoś łapali, ale i wyrzucali do garów. No nie jest, ale ja zobaczyłam tam tyle, że to do jedzenia i mówi, wiesz, teraz mi sparzysz, ja przyjdę z pracy. Napaliłam pod kuchnią, nie było tam gazu, wlałam wody do garnka, wsypałam te raki myślałam, że się topić zaczną. A one przecież tam żyją, w wodzie. No to się ucieszyły. Jak się zaczęła woda grzać moje raki wszystkie pokrywkę podniosły i wylażą. No to bić. Na ziemię. Krzyczeć nie będę. Na gotującą wodę jakbym wrzuciła to one by zaraz pozdychały, a one w zimnej, no to się cieszyły, że żyją. I to pozbierałam wodą, w tym zlewie ich wyplukałam, no dopiero garnka włożyłam. To prawda, że się muszą gotować, gorąca i aby ich zaczęłam rzucać do tej wody. No to już było cicho i nie, bo już zaraz umierały tam. Także pani się nie przyznałam, że to ziemi. Raki. Tego nie zapomnę, takie dziecinne to wszystko”*